



Irena Wygodzka

Nazwisko panieńskie

Beitner

Miejsce urodzenia

Magdeburg, Niemcy

Data urodzenia

1922

Miejsce śmierci

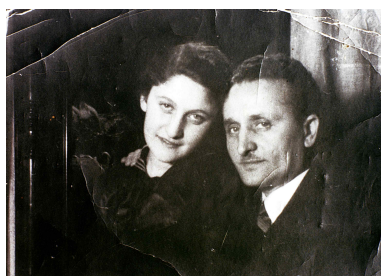
Warszawa, Polska

Data śmierci

2014

Rodzina

Nazywam się Eni Wygodzka z domu Beitner. Erna to imię używane w dokumentach, w dowodzie osobistym, ale zarówno moi przyjaciele, jak i rodzina zawsze mówili do mnie Eni. Jedna z kuzynek nazywała mnie Koziula, bo byłam taka dzika i niespokojna... Irena - to było dopiero po powrocie do Polski w 1947 roku.



**Irena ze swoim ojcem,
Hermanem Beitnerem**
1935

Rodzina ojca pochodziła z Dąbrowy Górniczej, a matki z Będzina. Pamiętam tylko jednego dziadka ze strony ojca. Moi dziadkowie mieli sklep żelazny... To musiała być firma rodzinna. Nazwisko panieńskie mojej matki to Londner. Jej rodzice wcześniej zmarli, w ogóle ich nie znałam. Ojciec mamy miał w Będzinie sklep, też żelazny, tyle wiem. Bardzo możliwe, że rodziny moich rodziców poznały się przez interesy – te sklepy z narzędziami. I były dwa małżeństwa pomiędzy tymi rodzinami. Najpierw Tobiasz, brat mojego ojca, ożenił się z Manią, siostrą mojej mamy. A na tym weselu moja mama musiała poznać brata Tobiasza. Musieli się w sobie zakochać, ale jakoś mama nigdy o tym nie mówiła. Były to rodziny, które ledwo wiązały koniec z końcem. Tak myślę.

Matka miała na imię Bala, ale oficjalnie w dokumentach chyba Bajla. Ale podpisywała się też imieniem Balbina. „Balcia” - pamiętam, jak mój ojciec nazywał mamę. Kiedy rozmawiali ze sobą w jidysz, mama mówiła do ojca „Herszel”, a kiedy mówili po polsku – Herman.

Pamiętam, jak mama mi opowiadała, że czekała siedem lat, bo w czasie I wojny światowej ojciec był w wojsku. Więc on był w armii między 1914 a 1918 rokiem i chyba wzięli ślub w 1919, bo mój brat Natan urodził się w 1921, a ja w 1922. Po ślubie moi rodzice wyjechali do Magdeburga. Był [w Polsce] straszny kryzys i dlatego ojciec wyjechał do Niemiec szukać pracy. Myślę, że musiał to być rok 1920.

Dzieciństwo, dorastanie, życie religijne i edukacja

Kiedy miałam dwa lata, moi rodzice wrócili do Polski. Pojechalismy do Katowic. Tam urodziły się moje dwie siostry, Zosia i Jadzia. W Katowicach mój ojciec był zarządcą nieruchomości.

Matka zawsze martwiła się, że nie ma dość pieniędzy. O ile pamiętam, nie było tak źle... Ale pamiętam, że moi rodzice zawsze mówili o zadłużeniu. Matka zajmowała się domem, była czwórka dzieci, więc pracy było dużo. Nie było luksusów. Była jedna służąca, zawsze Polka. Służące przychodziły i odchodziły, z różnych powodów...

W domu rozmawialismy po polsku. Moi rodzice mówili też po niemiecku i w jidysz. My, dzieci, mówiliśmy po polsku i niemiecku. Jedyna książka, jaką pamiętam, że mieliśmy w domu, była po polsku. To był Tołstoj, pamiętam... Moi rodzice mało czytali. Nie mieli wykształcenia, nie mieli intelektualnych potrzeb. To byli prości ludzie. Znajomi moich rodziców byli Żydami. Nie mieliśmy żadnych bliskich kontaktów z Polakami. Trzy narodowości w mieście: Polacy, Żydzi i Niemcy nie były sobie bliskie. Żydzi spotykali się z Żydami, a inni pewnie ze swoimi.

Jedzenie matki było kosherne. Moi rodzice obchodzili tradycyjne święta: Pesach, Chanuka, Purim. Matka zapalała świece w piątki. Kiedy zapalała świece, odmawiała modlitwy, ale nie



Beitnerowie w 1923 r.
1923

modliła się w innych sytuacjach. Nie chodziła dużo do synagogi, nie była fanatyczką religijną. Ojciec chodził do synagogi, ale tylko w święta, nie w piątki. Nie co tydzień, jak ci religijni Żydzi. Nie nosił brody, był bardziej postępowy. W szabat nic nie robiliśmy. Właśnie wtedy przychodzili goście. Ale nie sądzę, że przestrzegaliśmy wszystkich tych ograniczeń. Gotowaliśmy, zapalaliśmy światła, ale chyba nie podróżowaliśmy. Nie wolno nam było jeść szynki, ale ja i moi przyjaciele często kupowaliśmy kanapkę z szynką i jedliśmy ją przy bramie. Nigdy nie byłam religijna. Pamiętam, że chodziłam do synagogi tylko w święta i bawiliśmy się w ogródkach wokół synagogi. Pamiętam, jak mój brat dyskutował z ojcem na tematy religijne i próbował mu udowodnić, że Bóg nie istnieje, że wszystko zostało wymyślone przez ludzi. A my, dziewczęta, nie przejmowałyśmy się zbytnio religią.

Miałam sześć lat, kiedy zaczęłam chodzić do Szkoły Podstawowej im. Berka Joselewicza. To było bardzo blisko naszego domu... No cóż, nie byłam zbyt dobrą uczennicą. Raz nawet musiałam powtarzać klasę, VI klasę. Tak, oblałam matematykę i fizykę... Pamiętam, że bardzo mnie to dotknęło. W domu rodzice mnie nie ukarali. Było im przykro, tak jak i mnie. Powtarzałam więc 6 klasę i po ośmiu latach skończyłam tę podstawówkę, bo w sumie było siedem klas. Zaczęłam chodzić do gimnazjum w wieku 14 lat [1936]. Było to gimnazjum zawodowe Związku Kobiet Polskich w Katowicach. Szkoła dla dziewcząt. Uczyłyśmy się szycia, gorseciarstwa. Nie chciałam pracować w tym zawodzie, ale wysłali mnie tam rodzice. Ponieważ nie byłam zbyt dobrą uczennicą, wysłali mnie do szkoły zawodowej, żebym nauczyła się zawodu.

Ojciec był członkiem Organizacji Syjonistów Ogólnych, był tam skarbnikiem. Moi rodzice chcieli wyjechać do Palestyny, ale nigdy nie mieli pieniędzy na bilety, żeby pojechać z całą rodziną. Więc nigdy nie wyjechaliśmy. Poglądy syjonistyczne były popularne wśród braci mojego ojca. Matka chciała, żebyśmy wyjechali, ale nie należała do żadnej syjonistycznej organizacji.

Mój brat Natan był mądrzejszy i bardziej utalentowany ode mnie. Cały czas kłóciłam się z Natanem. Później byliśmy bardzo blisko, bardzo się polubiliśmy. Natan nie chciał jechać do Palestyny, tak jak nasi rodzice i ja. Nie miał nic wspólnego z syjonizmem, był raczej komunistą.



**Irena Wygodzka z
przyjaciółmi z Akiby w
Zakopanem 1936**

Miałam dziewięć lat [1931], kiedy wstąpiłam do organizacji syjonistycznej i zostałam w niej do końca. Moi przyjaciele zachęcili mnie do tego. Moi rodzice nie mieli nic przeciwko temu. Dołączyłam do Akiby. W Akibie spotykaliśmy się, uczyliśmy hebrajskiego, śpiewaliśmy piosenki po hebrajsku. To było całkiem fajne. Chcieliśmy wyjechać do Palestyny. Studia, dyskusje, obozy – to wszystko przygotowywało nas do emigracji. Opowiadali nam o Palestynie... Dużo nam mówili o moralności, dumie, miłości do izraelskiej ziemi. Kiedy miałam 12, 13 lat pojechałam pierwszy raz na obóz. Jeździłam na obozy z Akibą, może raz z Ha-Noarem. Moim rodzicom bardzo się to nie podobało. Musieli zapłacić, to było drogie. Ale zawsze jakoś udawało mi się ich przekonać.

Były dyskusje o bieżących wydarzeniach, kwestiach politycznych i seksualnych. Te rozmowy mnie uświadomiły. Byłam wtedy bardzo młoda, 12-13 lat. Co my wtedy wiedzieliśmy? Nic. Nasi rodzice nic nam nie mówili. Właściwie nie randkowałam. Nie zakochiwałam się łatwo, no cóż, nawet jeśli tak, to było to platoniczne. Był taki Moniek Fajner. Pochodził z Będzina. Moniek Fajner wyjechał do Palestyny chyba w 1937 roku. Pisał do mnie listy, był we mnie zakochany, ale ja mu nigdy nie odpisałam.

Druga wojna światowa i Holokaust

Chyba dzień przed wybuchem wojny uciekliśmy z Katowic, bo baliśmy się Niemców. Wszyscy uciekali, nie tylko Żydzi. Ale nikt nie liczył, jak szybko nas dogonią. Byliśmy gdzieś koło Olkusza, Wolbromia. [Potem wróciliśmy] do Sosnowca, do siostry mojej mamy [Mani] i brata mojego ojca [Tobiasza], czyli do moich najbliższych krewnych.

I wtedy zaczęła się ta okropna okupacja. Byłam zbuntowaną dziewczyną, więc postanowiłam uciec. Nic nie powiedziałam rodzicom. I ja z bratem postanowiliśmy jechać do Lwowa, do Rosjan. To był jeszcze wrzesień 1939. No to wyszliśmy z domu, szliśmy i szliśmy, czasem jechaliśmy jakimś wozem konnym. Dotarliśmy do Krakowa. Okazało się, że nie mamy pieniędzy. Więc mój brat wrócił do Sosnowca, żeby trochę zarobić. Wrócił z ojcem [z Sosnowca do Krakowa]. Ojciec uznał, że on też musi uciekać, bo był administratorem tych

kamienic, w których mieszkało tylu folksdojczów i chociaż był bardzo porządnym człowiekiem, to jednak miał wrogów... I odtąd podróżowaliśmy razem. Moja mama i siostry zostały w Sosnowcu, u wujka i ciotki. Minęliśmy Przemyśl, przepłynęliśmy nocą San, przeprawiliśmy się na stronę sowiecką i pojechaliśmy do Lwowa.

Tak więc pierwsze miesiące II wojny światowej spędziłam we Lwowie. Na początku powiedziałabym, że sytuacja była dramatyczna. Przybyło wielu uchodźców z całej Polski. Ojciec wreszcie wynajął pokój u Sewerynow. Była to matka z synem i córką. Byli Polakami. Bardzo mili i porządni ludzie. Natan chciał się zapisać do technikum, ale nie chcieli go przyjąć, bo był „bieżącym”. We Lwowie zobaczył, jak wyglądał prawdziwy komunizm i zrozumiał, że to wszystko był fałsz, to było nieprawdziwe. Trzymał się sam, nie miał żadnych przyjaciół. Jak ja wyjechałam [ze Lwowa do Wilna] został praktycznie sam. Nie miał dobrych stosunków z ojcem. Natan popełnił samobójstwo w 1940 roku.



**Natan Beitner, brat Ireny,
w latach 30. 1937**

Pojechałam do kibucu w Wilnie w grudniu 1939. Brat odprowadził mnie na dworzec. Nie powiedziałam ojcu, że wyjeżdżam, bo bałam się, że mnie nie puści. Napisałam do niego i ojciec jakoś mi wybaczył. Poszłam do kibucu, bo chciałam wyjechać do Palestyny... To było całkiem nielegalne, załatwiano papiery w Rosji.

Wiosną 1941 roku otrzymałam list od mamy wysłany z Sosnowca do Wilna. List przyszedł pocztą, normalnie. Mama nie wyraziła tego wprost, ale napisała, że jest jej przykro, że już nigdy nie zobaczy Natana. Skąd wiedziała, co się stało? Myślę, że ojciec musiał jej coś napisać. A ojciec ukrywał przede mną śmierć Natana... Kiedy dostałam ten list, poprosiłam kolegę Dudka Goldberga, który jechał do Lwowa, żeby się dokładnie dowiedział [co się stało]. To on potem przyniósł mi wiadomość, że Natan popełnił samobójstwo. Wtedy wróciłam do Lwowa, do ojca, to był maj 1941. Miesiąc później wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Do Lwowa udał się też Dudek Goldberg. Był moją pierwszą miłością: Dudek Goldberg z Radomia. Spotkałem go w Wilnie, w kibucu. Byliśmy razem we Lwowie przez krótki czas... Później wybuchła wojna i został wcielony do armii sowieckiej. *C'est tout* – to wszystko. Zginął na froncie. Wszyscy to wiedzieli: wysyłali ich wszystkich na front bez

żadnego przeszkolenia, jako mięso armatnie.

Po powrocie z Wilna zamieszkałam z ojcem w tym pokoju u Sewerynów. Miesiąc po wkroczeniu Niemców miał miejsce pogrom Żydów . Wtedy zginął mój ojciec. Ja też byłam w tym pogromie. Udało mi się wydostać z więzienia na ul. Lackiego, bo pokazałam dokument, który miałam. Niemiec spojrzał na mnie, byłam młody, blondynka, niebieskooka, może mu nie wyglądałam na Żydówkę. W każdym razie przeczytał „miejsce urodzenia: Magdeburg” i rozkazał, żeby wyprowadzili mnie z więzienia razem z dwiema innymi dziewczynami.

Byłam zupełnie sama, po tym jak mój ojciec został zamordowany w tym pogromie. Kiedy zaczęto tworzyć getto, uciekłam ze Lwowa. Postanowiłam pojechać do mamy, do Sosnowca. Zatrzymywałam wozy konne. Pamiętałam, żeby się przeżegnać za każdym razem, gdy mijaliśmy krzyż, żeby woźnice nie myśleli, że jestem Żydówką. Byłam bardzo ostrożna... Przypomniałam sobie, że mam w Olkuszu dalekich krewnych i tam pojechałam. Dali mi pieniądze, żebym miała na bilety autobusowe i kolejowe. Kupiłam bilet i pojechałam do Sosnowca.

Niemcy mieli szczegółową listę wszystkich, którzy przeszli z Generalnego Gubernatorstwa do Rzeszy, bo wszyscy ci ludzie musieli się ubiegać o kenkarty. Niemcy wezwali ich na miejsce zbiórki. Dostałam nakaz, aby się tam pojawić. My, młodzi, trafiliśmy do obozu pracy. Tak więc w lutym 1942 r. byłam już w obozie Oberaltstadt. Dziś to miejsce nazywa się Hořejší Staré Město [obecnie Horní Staré Město, część Trutnova w Republice Czeskiej]. Początkowo był to obóz pracy. Fabryka produkująca nici. Godziny pracy były np. od 2.30 nad ranem do 14.30. A potem trzeba było sprzątać obóz, szorować podłogi, robić różne rzeczy... Mieszkałyśmy w okropnych barakach, pełnych robactwa. W obozie były tylko dziewczyny. Z niektórymi z nich się zaprzyjaźniłam.

O tym, że w Sosnowcu powstało getto, dowiedziałam się w kolejnych miesiącach, po tym, jak trafiłam do obozu. Getto znajdowało się w Środuli, między Sosnowcem a Będzinem. Moja rodzina została przeniesiona do getta. Zaczęłam więc myśleć o ściągnięciu do obozu mamy i sióstr. Tymczasem matka chodziła po Sosnowcu błagając o wywiezienie do obozu. W końcu ktoś się nią znudził i wsadził ją do jakiegoś transportu. Udało im się dołączyć do mnie przed ostatecznymi wywózkami z getta w Środuli. Wszyscy pozostali członkowie rodziny zostali wywiezieni do Auschwitz i wszyscy zginęli. W obozie byłam z mamą i siostrami do końca wojny. I wszystkie przeżyłyśmy.

Po wojnie: rodzina i migracje

Po wyjściu z obozu pojechałam na jakiś czas do Salzburga [do obozu dla dipisów - przesiedleńców]. Razem z mamą i siostrami, bo nie wiedziałyśmy, dokąd jechać, chciałyśmy jechać do Izraela. W Salzburgu [w obozie DP] mieszkaliśmy w stajniach przystosowanych do spania. Z Salzburga pojechałyśmy do Niemiec.

Męża poznałam w Niemczech, jeszcze w 1945 roku. Mąż pochodził z Będzina. Miał na imię Szyja, Stanisław to jego przedwojenny pseudonim literacki. Stanisław był lewicowcem. Był samoukiem, ale miał ogromną wiedzę. Tłumaczył z niemieckiego, z jidysz. Zaczął pisać w latach 20. Był w Auschwitz, Oranienburgu, Sachsenhausen, Dachau, Freiman [miejsce nieustalone] – tam został wyzwolony w 1945 r., chory na gruźlicę, przewieziony do szpitala. Pobraliśmy się 11 marca 1946 r., kiedy został wypisany ze szpitala.



Irena i Stanisław

Wygodźcy po wojnie 1947

Obie moje siostry i mama pojechały prosto z Niemiec do Palestyny. Ja też chciałam jechać do Palestyny, ale mój mąż, ponieważ był polskim pisarzem i komunistą, uważał, że jego miejsce jest w Polsce. On o ten socjalizm walczył całe swoje świadome życie, a kiedy chodziło o Polskę, chciał go dalej budować. Kiedy braliśmy ślub, mój mąż postawił taki warunek – żebyśmy wrócili do Polski. A ja się zgodziłam, bo go kochałam. Ludzie wyjeżdżali do Palestyny, do Ameryki, w różne miejsca. Nikt nie wracał do Polski, bo wiedzieli, że tam jest antysemityzm.

I tak dotarliśmy do Warszawy. Mój mąż pracował przez jakiś czas dla Ministerstwa Kultury, później już tylko w domu. Jedyne, co robił, to pisał. Ja pracowałam do narodzin syna. W 1952 roku urodziłam Adama, a później Ewę. Jest o trzy lata młodsza od Adama. Nie byłam tradycyjną

żydowską gospodynią. Dzieci wychowałam w sposób świecki. Oczywiście mówiłam im o ich dziedzictwie. Mój mąż i ja nigdy nie ukrywaliśmy naszej tożsamości. Mąż nigdy nie chciał jechać do Izraela, ale w 1967 roku zdecydował się pojechać. Antysemityzm nie znał wtedy żadnych granic. Wyjechaliśmy w 1968 roku, w styczniu. Cały okres poprzedzający nasz wyjazd był okropny. Byliśmy śledzeni, nasz telefon był na podsłuchu. Nawet nasz syn chciał

wyjechać, bo w szkole doświadczył antysemityzmu... Moja córka też tego doświadczyła.

W Polsce mój mąż zarabiał w jeden konkretny sposób – wydawał książki. Ale w Izraelu nie dało się wiele zarobić na pisaniu. Musieliśmy sobie jakoś radzić, więc przez dziewięć miesięcy uczyłam się w szkole dla kosmetyczek w Tel Awiwie. Na pierwsze klientki czekałam długo, prawie rok. Pracowałam bardzo ciężko, nauczyłam się ciężko pracować jeszcze w Polsce. Później miałam wiele klientek. Mój mąż trochę pisał. I zaczął pracować dla Yad Vashem. Przygotowywał dla nich definicje do „Encyclopedia Judaica”, redagował także pamiętniki, wspomnienia. Mój mąż był niezadowolony z wielu rzeczy w Izraelu: z ich stosunku do Arabów i z tych ortodoksów, ich władzy w kraju. Kiedy były wybory, zawsze głosowaliśmy na Partię Pracy. Bardzo tęsknił za Polską, za przyjaciółmi i za przeszłością. Nigdy tak naprawdę nie czuł się u siebie...

Potem zaczęły się problemy z dziećmi. Byli w innym świecie, klimacie, mentalności, wszystko było im obce. Chociaż próbowali tam zapaść korzenie, nie wyszło. Mój syn zdecydował się opuścić Izrael na stałe [w 1975 lub 1976 r.]. Ożenił się ze Szwajcarką [w 1985 roku]. Podróżowali po całym świecie. Byli w Indiach, Nowej Zelandii, na Jamajce, w Ameryce Południowej. Ich córka ma na imię Sunshine, urodziła się w Nowej Zelandii. Po jakimś czasie w Hiszpanii moja córka poznała Francuza, za którego wyszła za mąż. Od dziesięciu lat mieszkają na południu Francji, mają dwie córki.

Mój mąż zmarł w 1992 roku. Zostałam w Izraelu jeszcze przez kilka lat. W końcu uznałam, że jeśli chcę pozostać w kontakcie z dziećmi, powinnam pojechać do Europy.

Zdecydowałam, że nigdy nie wrócę do Izraela. W 2000 roku zdecydowałam się pojechać do córki [do Francji]. Okazało się jednak, że nie czuję się tam dobrze. Postanowiłam więc pojechać do Warszawy, zobaczyć, jak tu będzie, czy będzie można żyć, bo nigdy nie wyobrażałam sobie, że po wyjeździe [w 1968 r.] wrócę do Polski. Więc dotarłam tutaj, jestem tutaj i nie jest mi tak źle. Nie jest też dobrze, bo nie czuję więzi ani z Izraelem, ani z Polską, ani z Francją. Jestem trochę w zawieszeniu, ani tu, ani tam. Jestem obywatelką Izraela, nie mam polskiego paszportu. Odebrano mi obywatelstwo polskie. Mogłabym



**Irena i Stanisław
Wygodzcy nad Jeziorem
Galilejskim 1973**

spróbować je odzyskać, ale nie jestem pewna, czy warto. Odstraszają mnie te same rzeczy, które mnie zniechęcały w Izraelu. Na przykład fanatycy, którzy wszędzie są tacy sami. Więc to wszystko jest trudne, zwłaszcza, że jestem sama. Wiem, że do końca zostało mi niewiele czasu, dlatego cieszę się za każdym razem, gdy syn lub córka mnie odwiedzają. Jest kilka osób, z którymi mogę od czasu do czasu porozmawiać. Na przykład z kręgów literackich. Nie uczestniczę w życiu gminy wyznaniowej żydowskiej w Warszawie. Nigdy nie brałam w tym udziału i nie widzę powodu, żeby zaczynać teraz. Dużo czytam. Głównie o Holokauście. Jakoś nie mogę zostawić przeszłości za sobą.



Irena Wygodzka w 2004 roku 2004